

RUPIECIARNIA
NA KOŃCU ŚWIATA

Agnieszka Gil *Herbata z jaśminem*

Anna Łacina *Czynnik miłości*

Anna Łacina *Kradzione róże*

Anna Łacina *Telefony do przyjaciela*

Anna Łacina *Miłość pod Psią Gwiazdą*

Beata Ostrowicka *Przecież cię znam*

Agata Mańczyk *Rupieciarnia na końcu świata*

AGATA MAŃCZYK

RUPIECIARNIA

NA KOŃCU ŚWIATA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, 2012
Text © copyright by Agata Mańczyk, 2012

Projekt layoutu okładki: *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*
Ilustracja na okładce: *Maciej Szymanowicz*, www.maszynowicz.com

*Pamięci mojej babci Janki, której śpiewu, kanapek z cukrem
i niezwykłych opowieści bardzo mi brakuje.*

*Oczy tej malej jak dwa błękity,
myśli tej malej – białe zeszyty,
a on był dla niej jak młody bóg,
żebyż on jeszcze kochać mógł...*

Agnieszka Osiecka, Oczy tej malej

NOWE ŻYCIE

Czasami człowiekowi urośnie w gardle taka gęstwa, że ani jej wypluć, ani przełknąć. Z tej sytuacji są tylko dwa wyjścia. Udusić się, zabierając swoje kłopoty do przytulnego, cichego grobu, albo wszystko opisać. Z przyczyn obiektywnych wybrałam drugie rozwiązanie. Dlatego teraz siedzę w niewielkim pokoju, otoczona paskudnymi różowymi kotkami, które gapią się na mnie z lekko pożółkłych tapet, i zastanawiam się, jak wytrzymam w tym miejscu następne dziesięć lat. Może krócej. Powiedzmy osiem. Jak dobrze pójdzie, to nawet trzy.

Tak czy inaczej, to mój nowy dom. Stary był jeszcze w całym niezłym stanie, ale mama stwierdziła, że są granice wytrzymałości i jej właśnie zostały przekroczone, że jest wciąż atrakcyjną kobietą i może ułożyć sobie życie i że nie zamierza tkwić w toksycznym związku tylko dlatego, że kiedyś przez nieuwagę ślubowała coś przed ołtarzem. Rozwód załatwiono w tempie ekspresowym. Sąd orzekł całkowity rozpad pożycia. Obie strony skwapliwie przytaknęły. Nieletnia córka została u matki, ojciec dostał prawo widywania się z nią w każdy weekend. Mieszkanie sprzedano, a pieniądze podzielono po połowie, tak jak całą resztę. Wysoki sąd życzył wesołych świąt i poszedł do domu na karpia. My nie mogliśmy. Nie mieliśmy już domu.

Mama była trochę stremowana, ale szczęśliwa. Jeszcze nigdy jej takiej nie widziałam. Gorączkowo pakowała ubrania, książki, płyty i zdjęcia. Opowiadała nerwowo, jakie to

wspaniałe życie nas teraz czeka. Może i tak. Na dobry początek nie kupiliśmy choinki. Przecież się nie oplaca, bo za tydzień się wyprowadzamy. Może i tak. W Wigilię mama dłużej siedziała w pracy, bo musiała pozamykać wszystkie sprawy, ale miała mi to wynagrodzić w pierwszy dzień świąt. Faktycznie się starała. Nie mogę się czepiać. Kilka naprawdę zabawnych filmów na DVD, spacer po parku, moja ulubiona pizza i ciągła gadka o tym, jak teraz wszystko się zmieni. Może i tak, tylko czy na lepsze?

Nie znalazłam na mapie tego całego Tomaszowa i to wzbudziło moje podejrzenia. Mama mówiła, że to piękna miejscowość. U babki miałyśmy mieszkać tylko przez jakiś czas. Potem mama znajdzie pracę w Lublinie. Kupimy dom z ogródkiem i wszystko wróci do normy.

– Dlaczego nigdy wcześniej tam nie jeździliśmy? – zapytałam podejrzliwie.

Machnęła ręką, ale zauważyłam, że lekko zadrżała jej powieka. Zawsze tak było, kiedy coś ją nagle zdenerwowało i nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić.

– Jakoś się nie złożyło. Zresztą nigdy nie byłam z twoją babcią zbyt blisko.

– A co się stało? – drążyłam.

– Nic takiego. Zwyczajny młodzieńczy bunt. Ty wiesz najlepiej, jak to jest. – Zaśmiała się trochę sztucznie.

Ja wiem najlepiej! A niby skąd? Nigdy w życiu się nie zbuntowałam. Właściwie nie miałam nawet powodu. Mama nie narzucała mi, jak powinnam się ubierać i zachowywać. Nie kupowała mi bluzek z falbankami, bo wiedziała, że ich nie znoszę, nie kazała recytować wierszy na spotkaniach z przyjaciółmi i nie sprawdzała, jakie czytam książki. Obserwowała mnie ukradkiem, myśląc, że tego nie widzę, i czasami zwracała się przyjaciółce, ciotce Helenie, że wszyscy przeżywają gehenny ze swoimi nastoletnimi dziećmi, a ona

ma błogi spokój. Czy to normalne? Może rzeczywiście coś ze mną jest nie tak, ale zawsze szkoda mi było czasu i energii na kłótnie o kolczyk w brwi albo ufarbowane włosy. Czy to naprawdę takie ważne? Jeśli chodzi o ciuchy, to wystarczają mi klasyczne granatowe dżinsy, kolorowe podkoszulki najczęściej bez nadruków i proste swetry albo bluzy z kapturem. Nie noszę biżuterii, nie maluję się, nie piję i nie palę. Mam długie proste włosy w zwyczajnym brązowym kolorze, które najczęściej spinam na karku, żeby nie wchodziły mi do oczu. Zielone oczy, trochę za długi nos i kilka dyżurnych pryszczki na brodzie. Nic specjalnego. Nie mogę powiedzieć, że bym była ładna, ale nie jestem też jakoś szczególnie brzydka. Chłopcy zazwyczaj nie zwracają na mnie uwagi i nie mam im tego za złe. To całe przedstawienie z trzepotaniem rzęsami, pudrowaniem nosów w ubikacji i histerycznym śmiechem ze spalonych dowcipów przyprawia mnie o mdłości. Na szczęście żadnemu z moich kolegów nie przyszło do głowy zapraszać mnie na randkę ani rozmawiać na przerwie dłużej niż to absolutnie konieczne. Jestem przeciętną dziewczyną z niemodnym imieniem. Czasami wydaje mi się, że jeśli głośno nie krzyknę, ludzie wokół nie będą nawet wiedzieli, że żyję. A mimo to krzyczę bardzo rzadko. Nie włóczę się nocami po mieście, nie gołę głowy i nie przekłułam sobie nosa ani pępka. Lubię smutne wiersze Agnieszki Osieckiej, płacę na komediach romantycznych i znam na pamięć wszystkie piosenki Marka Grechuty.

Nie lubię złotego koloru, krupniku, bitej śmietany, deszczu i zmian. Pechowo się złożyło, bo akurat te ostatnie od jakiegoś czasu czaiły się w pobliżu, żeby w odpowiednim momencie zwalić mi się na głowę. To jednak nic w porównaniu z tym, jaki numer wycięła mi moja własna, rodzona matka. To długa historia. Lepiej zrobię sobie kubek gorzkiej herbaty, zanim przejdę do rzeczy.

Otóż moja mama jest bardzo podobna do mnie. Zawsze poważna, odpowiedzialna i skupiona na wszystkim, co robi. Nie lubi rozmawiać o głupstwach, nie marnuje czasu na serialy i nie kupuje plotkarskich gazet. Poza tym nie zna żadnych ciekawych historii. To podejrzane. Nigdy nie chciała mi opowiedzieć o swoim pierwszym chłopaku i o tym, co robiła jako dziecko. Kiedyś myślałam, że po prostu w jej życiu nie wydarzyło się nic ciekawego i nie ma o czym mówić, a kłamstwo było niezgodne z jej naturą. Myliłam się. Po pierwsze jeśli ktoś nie chce o czymś mówić, to zwykle dlatego, że woli to zatrzymać dla siebie, czyli ma tajemnicę. Po drugie każdy człowiek czasami kłamie, nawet ten, który się do tego nigdy nie przyzna. Prawdę mówiąc, tacy ludzie kłamią częściej niż inni. Moja mama kłamała przez całe życie. W ten sposób chciała ukryć swoją tajemnicę przed światem. Nie udało jej się. Przeze mnie. A wszystko zaczęło się od starego pudełka.

Podczas opróżniania mieszkania przed przekazaniem go nowym właścicielom na najwyższej półce w szafie, pod stosem prawie nigdy nieużywanych białych obrusów i haftowanych serwetek, znalazłam pudełko. Było metalowe w kwiatki, szczelnie zaklejone szarą taśmą, a na wierzchu widniało napisane flamastrem jedno znaczące słowo: „NIE!”. Ktoś nie chciał, aby pudełko zostało otworzone, ale zignorowałam to. Dostanie się do środka nie zajęło mi więcej niż pięć sekund i od razu wiedziałam, że włamalam się do skarbcza. Stary, duży zegarek na rękę z pękniętą szybką i wygrawerowanym napisem: „Dla Feliksa Sztachetki z rodziny Płotków od jego Księżniczki”, zniszczona i wypłowiała czerwona wstążeczka, srebrny pierścionek z niebieskim oczkiem, szmaciana lalka i połowa srebrnego serduszka na rzemyku. Granica między czymś bezwartościowym a bezcennym jest bardzo płynna. Zrozumiałam to dobrze, kiedy delikatnie obracałam w pal-

cach kolejne przedmioty. Dla mnie to były śmieci, ale moja mama miała na ten temat na pewno inne zdanie. Schowałam wszystko do środka, zakleiłam nową taśmą, odłożyłam na półkę i zapomniałam. Do czasu aż pudełko stało się nagle bardzo ważne.

Zaskoczyła mnie. Moja własna matka po tylu latach naprawdę mnie zaskoczyła. Nie przypuszczałam, że ktoś tak skupiony na pracy, poważny i zasadniczy może coś ukrywać przed własną córką. Ostatnio jednak coś się zmieniło. Ten cały błyskawicznie przeprowadzony rozwód i wyjazd do tajemniczego Tomaszowa, o którym nigdy do tej pory nie słyszałam, zamiast przygnębiać, dodawał mamie energii. Była podekscytowana i zdenerwowana. Mówiła za dużo i za szybko, śmiała się za głośno i była roztargniona, co nigdy do tej pory jej się nie zdarzało. Miałam wrażenie, że boi się tego, co przed nami, a jednocześnie nie może się doczekać. Nie rozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi, i bałam się. Bałam się jak diabli. Później okazało się, że słusznie.

Moje spokojne i nudne życie zaczęło się nagle zmieniać w tempie, do którego nie byłam przyzwyczajona. Całkowicie zdezorientowana pozwoliłam matce na więcej, niż powinnam, ale o tym opowiem kiedy indziej. To będzie historia o mnie. O tym, jak w końcu zaczęłam krzyczeć, ale też o mamie, której tak naprawdę nigdy nie znałam, i o mojej rodzinie, w której było więcej tajemnic i klątw niż w grobowcu Tutenchamona.

Zapomniałam o najważniejszym. Nazywam się Maryla. Mam szesnaście lat i piszę to wszystko, żeby nie zwariować.

* * *

W niedzielach jest coś magicznego. Człowiek budzi się sponiewierany i zniesmaczony faktem, że mimo wszystko

nadal żyje. Do tego za oknem pada śnieg z deszczem, a nie ma na świecie bardziej niedobranej pary. Jest zimno, ponuro i beznadziejnie. Zupełnie jak w grobie. Wtedy właśnie przychodzi do głowy ta myśl. Niedziela. I uśmiech sam pcha się na ponurą gębę, więc się człowiek, rad nierad, uśmiecha pod kołdrą do siebie i do swojej głupiej nadziei, że dziś wszystko będzie dobrze. Oczywiście nie będzie, ale o tym dowiem się dopiero za kilka godzin.

To nasz szesnasty dzień w Tomaszowie. Powinnałam właściwie powiedzieć: w Tomaszowie – tej dziurze zabitej dechami, do której nawet diabeł nie zagląda, bo umrzeć z nudów byłoby poniżej jego godności.

Do rzeczy. Przyjechaliśmy pierwszego dnia 2009 roku. Sylwestra spędziłyśmy w naszym starym, nieudanym domu, do którego następnego dnia rano wprowadziło się jakieś młode małżeństwo z córeczką. Uśmiechali się podekscytowani, kiedy mama wręczała im klucze i mówili, że będą tu szczęśliwi. Nie byłabym tego taka pewna.

W każdym razie kilkanaście godzin wcześniej mama siedziała na podłodze w pustym pokoju, z butelką czerwonego wina i ciotką Heleną, przy cicho grających piosenkach Rodowicz, na cześć której dostałam imię. Rodzice, nadając mi je, liczyli pewnie, że będę miała równie niezmierny głos. Płonnie nadzieje, bo ja, mimo imienia, które cierpliwie dźwigałam na barkach, ignorując komentarze koleżanek, nigdy nie zrobiłabym kariery jako piosenkarka. Pomijając zasadniczy problem, czyli całkowity i bezdyskusyjny brak głosu, słuchu i poczucia rytmu, w życiu nie wyszłabym na scenę przed tłum gapiących się na mnie ludzi. Mama nie znosiła smutnych wierszy, a mimo to codziennie po powrocie z pracy puszczała płytę Rodowicz, licząc na to, że odkryję w sobie miłość do śpiewania. I odkryłam, ale coś innego. Kiedy pierwszy raz usłyszałam *Bossa nowę do poduszki*, zamarłam nad stosem

brudnych naczyń w kuchni. Poczułam, że moje życie nie będzie już takie jak przedtem. Wiedziałam jednak, że nigdy nie zacznę śpiewać. Nie sądzę też, żebym kiedyś napisała coś na tyle sensownego, żeby ktoś z własnej nieprzymuszonej woli miał ochotę to przeczytać. Zresztą, co właściwie mogłabym robić w życiu poza czytaniem wierszy i analizowaniem swojej skomplikowanej osobowości? Pewna jestem tylko tego, że kiedy czuję się naprawdę paskudnie, mogę otworzyć mocno już zniszczoną książkę ze zdjęciem młodej i smutnej Agnieszki Osieckiej na okładce i zdołować się do całkowitego, beznadziejnego i mrocznego, jak dno studni, końca. Nie wspominałam jeszcze, że generalnie rzecz biorąc, jestem dość pogodną osobą.

Wracając do sylwestra. Mama z ciotką Heleną upijały się na smutno na podłodze w pustym pokoju, nucąc, rzecz jasna, piosenki tej bardziej uzdolnionej Maryli. Dziwne, dopiero teraz przyszło mi do głowy, że tamtego wieczoru słyszałam je po raz ostatni. Nigdy więcej mama nie puściła tej płyty. Nie zaśpiewała żadnego ze swoich ulubionych kawałków, a kiedy przypadkowo usłyszała znajomą melodię w radiu, zmieniała stację. Być może to z powodu rozwodu. Rodowicz pojawiła się w jej życiu razem z tatą, który poprosił ją o rękę na koncercie w Opolu. Od tej chwili zawsze byli we dwoje, a raczej we troje, bo kasety z Marylą mieli upchane w każdym kącie, w samochodzie i w domu. Kiedy po dziewięciu miesiącach od ich wypadu na festiwal przyszedłam na świat, sprawa imienia wydawała się oczywista. Minęło jednak szesnaście lat, mama zaczynała nowe życie i najwyraźniej, oprócz mnie, nie zamierzała ciągnąć za sobą żadnych ogonów.

W tę smętną ostatnią noc najgorszego roku, przez jaki przyszło mi przebrnąć, siedziałam w swoim pokoju z dwójkiem najbliższych mi ludzi na świecie. Piliśmy dużo lodowatej coli i, podobnie jak mama i ciotka za ścianą, nie mieliśmy

zbyt dobrych humorów. Zrobiłam moją sławną sałatkę z cykorii, pomarańczy i rodzynek, która teraz stała nietknięta na podłodze. Bruno przyniósł chipsy i moje ulubione chrupki orzechowe, na które wyjątkowo nie miałam ochoty, a Sabina przytęszczyła dwie butelki wina porzeczkowego, robionego co roku przez jej dziadka. W życiu nie piłam czegoś tak pasującego, a jednak uznaliśmy, że doskonale pasuje do okazji i naszych nastrojów. Tego właśnie było nam trzeba, żeby przetrzymać tę noc. Następnego dnia rano wsiadłam do samochodu, mama nacisnęła pedał gazu, wrzuciła piąty bieg i wyjechałyśmy z Warszawy, żeby, jak się zarzekała, nigdy więcej tu nie wrócić. W tym momencie poczułam, jak pęka mi serce. Autentycznie. Nagły skurcz, lekki ból i znowu ta gula w gardle. Może to histeria, ale, do diabła, to było moje miasto i moje życie! Co właściwie miało znaczyć „nigdy”? Rozumiem, że chciała sprzedać mieszkanie, żeby pozbyć się nieprzyjemnych wspomnień i zacząć wszystko od początku, ale zostawić to, na co tak ciężko pracowała, aby po prostu uciec i do tego „na zawsze”?! To było do niej zupełnie niepodobne. Dopiero kilka miesięcy pracowała w tym dużym, modnym czasopiśmie dla kobiet. Miała szansę zostać szefową działu. Odkąd skończyła studia, walczyła o to, żeby dostać się do redakcji gazety takiej jak ta i kiedy w końcu jej się udało, odpuściła. Nie mogłam w to uwierzyć, ale mama milczała, więc nie drażyłam tematu. Mówiła tylko, że nie muszę się martwić, bo nadal ma dużo zleceń na teksty do różnych gazet i z zarobionych pieniędzy spokojnie się utrzymamy. Podobno nie trzeba siedzieć w redakcji, żeby pisać o zdradzie małżeńskiej i problemach z wychowaniem trzylatka.

Nie wiedziałam więc, kiedy będę mogła wrócić do domu. Ostatecznie to nie ja się rozwiodłam i postanowiłam zacząć wszystko od nowa. Dlatego opracowałam plan i zamierzałam się go trzymać. Posiedzę z mamą dwa lub trzy tygodnie,

góra miesiąc, najwyżej półtora, żeby się pozbięrała, a potem wróć do Warszawy i zamieszkać z ojcem. Wróć do szkoły, przyjaciół i mojego starego, wspaniałego życia. Wróć do wieczornych spacerów po Nowym Świecie, do śpiewania na całe gardło piosenek na moście Śląsko-Dąbrowskim, do ukochanej ulicy Francuskiej na Saskiej Kępie, gdzie raz w miesiącu odwiedzałam pomnik niezmiennie smutnej Osieckiej, do pływania rowerami wodnymi po stawie w parku Skaryszewskim, do Powązek, które najbardziej lubiłam w upalne popołudnia, kiedy można było schować się między grobami i w cieniu starych drzew czytać książki. Do naszego kina Muranów przy placu Bankowym, w którym spotykaliśmy się w każdy piątek i szliśmy na losowo wybrany film, a potem zjadaliśmy wielką pizzę i sałatkę w pobliskiej Pizzy Hut. I do Starówki. Kolorowych, zapchanych turystami wąskich uliczek, gdzie zawsze kupowałam pańską skórkę i obwarzanki. Tyle tego było. Niedzielne wyprawy w okolice sławnego warszawskiego trójkąta bermudzkiego między ulicami Targową, Żąbkowską a Brzeską, gdzie wybieraliśmy się czasami z aparatami i, jak na złość, nigdy nie spotkało nas nic złego, chociaż tak liczyliśmy na przygodę. Nigdy nie lubiłam Łazienek, ale wiedziałam, że za nimi też będę tęsknić. I za tym warszawskim dziwołagiem, Pałacem Kultury, gdzie zimą jeździliśmy na łyżwach, a latem chodziliśmy na basen. I za naszą białą kawiarnią* na Świętokrzyskiej. Siedzieliśmy tam godzinami w sobotnie popołudnia, grając w Monopoly i pokera. Będę tęsknić. Już tęskniłam. Za wszystkimi rzeczami, które zawsze mnie irytowały w tym mieście – za zapchanymi tramwajami i korkami na ulicach, sprzedawcami sznurówek i staników na Marszałkowskiej. Nawet za autobusem, który zawoził mnie

* Mowa o nieistniejącej już kawiarni Daily Cafe (wszystkie przypisy, chyba że oznaczono inaczej, pochodzą od Autorki).

do szkoły, i ulubionym tramwajem linii 26, którym przeproważałam się na drugą stronę Wisły.

Mieszkaliśmy na Woli. Nic szczególnego. Zwykle blokowiska, stare ulice, podwórka bez piaskownic i huśtawek. A jednak nawet brzydkiej i nieciekawej ulicy Wolskiej będzie mi brakowało. To histeria, prawda? Nieco świeżego powietrza, kilka głębokich wdechów i zimny kompres pomogą. Wszystko minie. Zresztą niedługo wrócę. Niech tylko mama się trochę zorganizuje. Czasami ta myśl pomagała. Jednak siedziałyśmy tu już ponad tydzień i coraz częściej zastanawiałam się, czy rzeczywiście znajdę siłę, żeby ją zostawić. Była twarda. Nie dawała po sobie poznać, jak bardzo rozwód ją zranił. Często mówiła, że cieszy się, że ma to za sobą i jest wolna, ale kiedy chodziłyśmy po uliczkach tego przerażająco małego miasteczka, widziałam, że cały czas jest spięta i zdenerwowana. Teraz nie mogłam jej zostawić. Jeszcze nie.

Spaceruję więc po Tomaszowie, który jest tak brzydki i przygnębiający, jak to tylko możliwe o tej porze roku. Ludzie patrzą na mnie znacząco, kiwają głowami i szepczą między sobą komentarze, których wołę nie słyszeć. Wspominam. Jedyne to mnie trzyma przy życiu. Wspomnienia i mapa. Wykrađłam ją mamie z samochodu. Kiedy nic nie pomaga, nawet kubek gorącej herbaty z sokiem malinowym i cytryną, nawet wiersze Osieckiej, rozkładałam ją na podłodze i zaznaczam na planie Warszawy wszystkie ważne dla mnie miejsca. Ulicę, przy której mieszkałam, naszą szkołę, park i kościół Świętego Wojciecha, gdzie spotykałyśmy się z Sabiną co niedziela na mszy o jedenastej, wcale nie po to, żeby się modlić, tylko żeby podziwiać niezmiernie przystojnego księdza Arkadiusza. Bibliotekę, z której ukradłam tomik poezji Osieckiej, i nasze tajne miejsce na tyłach parku Szymanowskiego, gdzie przesiadziłyśmy pół życia. To nie pomaga, ale przynajmniej pozwala zabijać czas, którego tutaj mam zdecydowanie za

dużo. W Warszawie zawsze coś się działo. Nigdy nie siedziałam beczynn timer w domu. I zawsze byliśmy we trójkę. Tutaj, jeszcze bardziej niż brak mojego miasta, doskwiera mi brak przyjaciół. Bruna i Sabiny.

Sabinę poznałam w pierwszej klasie. Obie byłyśmy przestraszone i ledwo żywe ze zdenerwowania. Może dlatego wychowawczyni posadziła nas w jednej ławce, za co do dzisiaj jestem jej wdzięczna. Zaprzyjaźniłyśmy się bardzo szybko. Teraz przyszloby nam to dużo trudniej. Nie chcę powiedzieć, że jestem odludkiem, ale zawieranie znajomości nie jest moją mocną stroną. Zresztą znalezienie prawdziwego przyjaciela to niezwykła sztuka – taki trafia się człowiekowi tylko raz, góra dwa, na całe życie. Akurat w tej dziedzinie miałam szczęście. Dwoje najzabawniejszych i najlepszych ludzi na świecie było moimi przyjaciółmi. Doceniałam ten dar od losu szczególnie teraz. W każdym razie w wieku siedmiu lat zostałyśmy z Sabiną przyjaciółkami na długie lata, choć wtedy myślałam, że na zawsze. Jeden podstawowy kłopot z tym „na zawsze” jest taki, że nikt nie wie, co się w nim czai. W naszym czekał prawdziwy, wyjątkowo paskudny śmierdziel, którego nie sposób było ani obejść, ani przeskoczyć, więc po prostu pozwoliłyśmy, żeby pękł na naszych oczach, zatruwając świeże powietrze i naszą, podobno wieczną, niezniszczalną przyjaźń. Zdarza się. Najgorsze jest to, że nawet specjalnie mi nie żal. A powinno, ostatecznie straciłam najlepszą przyjaciółkę, i to w tak banalny sposób.

Głupia sprawa. Ja wyjechałam, ona została. Przez pierwsze dni dzwoniłam zbyt często. Kiedy zrozumiałam, że jej przeszkadzam, przestałam. Wtedy ona co drugi dzień przysyłała grzecznościowe SMS-y, na które odpowiadałam bez złośliwości, choć wszystko się we mnie gotowało. W końcu jednak przestałam się złościć i szlochać, mimo że nie przestałam tęsknić. Zobojętniałam, co przyjęła z widoczną ulgą.

Napisałam jeszcze dwa czy trzy krótkie listy o niczym, na które odpowiedziała pocztówkami z Warszawy, czym całkowicie mnie dobiła. Znałyśmy się prawie całe nasze świadome życie i dałybyśmy sobie radę z chwilowym rozluźnieniem więzi. Takie rzeczy się zdarzają. Ale stało się coś, czego nie przewidziałam. To nawet nie była jej wina, choć oczywiście na początku tak myślałam. Jeśli już czyjaś, to moja. Kto kazał mi się zakochać w niewłaściwym facecie w najgorszym z możliwych momentów? Prawdziwy niefart. Spartaczyłam sprawę i zostałam sama.

Bruno był drugą najbliższą mi osobą. A właściwie pierwszą, najważniejszą i jedyłą, na której naprawdę mi zależało. Wszystko jednak potoczyło się fatalnie. I w tym paskudnym momencie mojego popapranego życia, kiedy tak bardzo potrzebowałam dobrego przyjaciela, który nie zrzędzi i się nie mądrzy, tylko cierpliwie słucha i robi następną herbatę z malinami, zostałam sama jak palec. Szczerze? Z natury nie jestem typem wesołka. Jednak jeszcze nigdy nie znalazłam się na tak mrocznym, pozbawionym nadziei i sensu dniu jak teraz. Uprzedzałam, że to będzie ponura historia? Nie słyszałam nic bardziej dołującego, odkąd ojciec przeczytał mi baśnie braci Grimm. Chyba więc po prostu zacznę od początku, który tak naprawdę był początkiem końca.

Tak jak mówiłam, Sabinę poznałam w wieku siedmiu lat. Kiedy dobiłyśmy do dziesiątych urodzin, pojawił się Bruno, syn ciotki Heleny. Tej samej, z którą mama świętowała ostatniego, żałośnie smutnego sylwestra w Warszawie. Kiedy byłam w czwartej klasie, wprowadzili się do mieszkania pod nami. Mama brała wtedy zlecenia na artykuły z kilku czasopism dla kobiet i całe dni siedziała przed komputerem, szlifując teksty o zdradzie w małżeństwie i o tym, jak wyglądać na trzydzieści lat, kiedy ma się czterdzieści, i jak przetrwać z nastolatkiem w jednym domu. Chorowałam na

ospę i leżałam w łóżku, kiedy usłyszałam walenie do drzwi. Mama nie zareagowała, więc otworzyłam. Zobaczyłam wielkie niebieskie oczy, czarne, zdecydowanie za długie włosy i wielkiego strupa na prawym policzku.

– Strzeż się! Moja mama tu idzie! – szepnął konspiracyjnie.

– A po co? – zapytałam nieprzytomnie.

– Urwać głowę tej głupiej babie, która tu mieszka, oskubać do ostatniej złotówki jej starego i sprać tyłek dziecku, jeśli jakieś tu jest.

Spojrzałam na niego spod przymrużonych powiek.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Słyszałem, jak krzyczała, kiedy brudna woda lała się na jej nowy dywan.

– Jaka woda?

– Ta! – Pokazał palcem na naszą podłogę i dopiero wtedy poczułam, że stoję po kostki w zimnej i faktycznie podejrzanie mętnej wodzie. Było jednak za późno na jakąkolwiek reakcję, bo właśnie wysoka kobieta z równie niebieskimi oczami i chmurą z kolei rudych włosów wkroczyła do naszego mieszkania, nie czekając na zaproszenie. Mama zdążyła oderwać się od komputera, żeby sprawdzić, co tak chlupocze, i spotkały się w przedpokoju. Sąsiadka w ataku wściekłości zdołała tylko pokazać palcem na podłogę.

– Woda!

– Rzeczywiście – przytaknęła mama, która zawsze wołała się trzy razy zastanowić, zanim wpadnie w panikę.

– I co teraz?

– Może napijemy się herbaty?

Mniej więcej tak to się zaczęło. Ciotka Helena została najlepszą przyjaciółką mamy. Pamiętam, że często siedziały, tak jak w tego ostatniego sylwestra, na podłodze i opowiadały sobie same smutne historie, zaśmiewając się przy tym

do łez. Przyjaźń to dziwna sprawa. Człowiek przyzwyczajają się do zupełnie obcych ludzi i nie potrafi potem bez nich żyć, a przecież był czas, kiedy w ogóle ich nie potrzebował. Żadne z nas jeszcze o tym nie wiedziało w ten smutny sylwestrowy wieczór. Nikt nie mówił o moim wyjeździe. Siedzieliśmy na podłodze, jedliśmy słone chipsy, piliśmy kwaśne wino i zimną colę i zastanawialiśmy się, jak będziemy wyglądać za dwadzieścia lat. Czego można chcieć więcej? Oczywiście coś wisiało w powietrzu. Ale najwyraźniej nikt tego nie zauważał. Kiedy jednak poszłam do kuchni po nową paczkę solonych orzeszków, usłyszałam coś, co do tej pory brzęczy mi w głowie jak natrętna mucha.

– Myślisz, że to dobry pomysł? Wracać do tego po tylu latach? Tylko wszystko pogorszysz – powiedziała ciotka Helena.

– Muszę to zrobić. Za długo czekałam, ale nie chciałam zranić Ryśka. On nie miał takich skrupułów i ja też nie powinnam ich mieć. Nie zasługiwał na to, żeby się o niego troszczyć, szczególnie po tym, co nam zrobił. Muszę w końcu uporządkować swoje życie. Te tajemnice nie mają sensu. Już czas, żeby wszystko wyjaśnić.

– Wiesz, że Maryla może cię za to znienawidzić?

Mama kiwnęła głową i wypila duży łyk wina. Podniosła głowę i zobaczyłam w jej oczach przerażający spokój, podobny do tego, z jakim samobójca staje na parapecie okna.

– Zaryzykuję. Jeśli i tym razem stchórzę, któregoś dnia stracę ją na zawsze, a tego bym nie przeżyła.

– Zastanów się jeszcze nad tym – poprosiła łagodnie ciotka Helena, a mama gwałtownie pokręciła głową.

– Piętnaście lat się zastanawiałam! Myślę, że to wystarczy. Po prostu muszę to zrobić dla siebie i dla niej.

– Ale...

– Maryla ma prawo znać prawdę! – podniosła głos, a po chwili dodała spokojnie: – To zmieni całe jej życie.

Stałam w drzwiach salonu i patrzyłam na te dwie kobiety, siedzące po turecku przy świeczce, winie i piosence o balu, na który podobno drugi raz nie zaproszą nas wcale. Nie powinnam podsłuchiwać. Wtedy jeszcze miałam żelazne zasady. Wzruszające, ale zupełnie niepraktyczne. Teraz mój kodeks etyczny składa się tylko z jednego punktu: „rób wszystko, żeby dotrzeć do prawdy”. Stałam się złą, wścibską dziewczyną, która przed niczym się nie cofnie. Wtedy, kiedy stałam w drzwiach salonu i patrzyłam na moją matkę, mogłam jeszcze wszystko zmienić. Powinnam się zbuntować. To był najlepszy moment. Chciała zabrać mi przyjaciół, miasto, szkołę, całe moje życie. Czy to nie powód, żeby człowieka poniosły nerwy? Niestety mnie moje nie poniosły. Byłam jeszcze spokojną, porządną dziewczyną i wyrozumiałą córką. Patrzyłam na napiętą twarz mamy. Wydawała się taka zagubiona. „Maryla ma prawo znać prawdę”. To zdanie zawisło w półmroku. Było coś, o czym mi nie powiedziała. Coś ważniejszego niż rozwód i całe to zamieszanie. Moja spokojna, uporządkowana matka miała tajemnicę. Stałam w miejscu ze wstrzymanym oddechem i zaciśniętymi dłońmi, czekając na wiadomość, która zmieni moje życie. Ona jednak nie nadeszła, bo mama odwróciła się, jakby wyczuła moją obecność, i zakłopotana spuściła wzrok.

– Przyniosłam po orzeszki – oznajmiłam, zanim zdążyła zapytać.

– Są w kuchni.

To akurat sama wiedziałam.

* * *

Przez całą drogę mama prawie się nie odzywała. Ścisła kierownicę i wpatrywała się w napięcie w jezdnię, chociaż

droga była prawie zupełnie pusta. Mimo deklaracji, niewielu ludzi zaczyna nowe życie pierwszego stycznia. Jechałyśmy już trzy godziny. Minęłyśmy uśpiony Lublin i oprócz spikera radiowego nikt nic nie mówił. Mama była spięta i zdenerwowana. Nie wiedziałam, czy to z powodu zbyt dużej ilości sylwestrowego wina, czy strachu przed tym nowym wspianym życiem, o którym ciągle opowiadała.

Od kiedy usłyszałam, że wyjeżdżamy, czyli od jakiegoś tygodnia, zastanawiałam się, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi. Warszawa jest duża. Starczyłoby w niej miejsca dla dwójki świeżo upieczonych rozwodników. To ponoć miasto ogromnych możliwości, a jedną z największych jest szansa skutecznego unikania przypadkowych spotkań z ludźmi, których nie ma się ochoty oglądać. Nie musiałyśmy wyjeżdżać, wystarczyło wyprowadzić się na Kabaty czy Białołękę i ryzyko spotkania ojca malało do zera. Mama podjęła inną decyzję i byłam niemal pewna, że miała w tym swój cel. Kiedy siedziałam obok niej w aucie i widziałam, z jaką determinacją wpatruje się w mokry asfalt, pomyślałam, że być może to najtrudniejszy moment w jej życiu. Myślałam się. Przeżyła kilka trudniejszych, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. Tak jak o tym, po co i do kogo właściwie jedziemy. Być może wystarczyło zapytać. Wolałam jednak milczeć i czekać. Teraz myślę, że niezależnie od tego, co bym zrobiła, wszystko skończyłoby się tak samo. Musiałam przez to przejść i poznać prawdę, która rzeczywiście wiele zmieniła. Nawet mnie. Zawsze miałam w miarę dobry kontakt z mamą. Lubiliśmy rozmawiać i śmiać się ze starych dowcipów, a kilkugodzinna podróż samochodem idealnie się do tego nadawała. Jednak żadna z nas nie odezwała się wtedy ani słowem. Mama była zbyt zdenerwowana i przerażona powrotem do przeszłości, a ja... cóż, chyba uznałam, że nie powinnam poruszać trudnych tematów. Jak mówiłam, byłam wtedy grzeczną dziew-

czynką. Jechałam w milczeniu, spodziewając się najlepszego i przygotowując na najgorsze.

Nagle mama gwałtownie zahamowała. Wyjrzałam przez okno. Na drodze nie było żadnego psa, zająca, dziecka ani staruszki. Samochód wpadł w lekki poślizg, ale bezpiecznie zatrzymał się na środku ulicy. Rozejrzałam się uważnie w poszukiwaniu zwalonego drzewa, plamy rozlanego oleju. Czegokolwiek, co usprawiedliwiłoby taki manewr. W końcu znalazłam. Na poboczu stała duża zielona tablica z białym napisem: TOMASZÓW.

Podróż dłużyła mi się niemiłosiernie. Teraz jednak wydawało mi się, że dojechałyśmy zbyt szybko. „Jesteśmy na miejscu. Za późno na wątpliwości” – nagle przeraziła mnie ta myśl. Nie ma odwrotu. W moim pokoju w Warszawie będzie mieszkało dwuletnie dziecko, które zamiast zdjęcia Osieckiej powiesi na ścianie plakat z Kubusiem Puchatkiem. W szkole nikt już nie zdziwi moja nieobecność. W starym życiu nikt już na mnie nie czeka. A ja nie czuję dreszczyku emocji, jaki zazwyczaj towarzyszy zmianom, tylko strach, który przerodził się w panikę, kiedy zaparkowałyśmy przed naszym nowym domem.

* * *

Był duży i ponury. Dwupiętrowy, mocno zaniedbany budynek z czerwonej cegły. Zielony, spłowiwały spadzisty dach, okna zarośnięte jakimś pnącym zielskiem, w którym na pewno roiło się od pajaków, szczypawek i innych robali. Zamknięte okiennice i duże drewniane drzwi z metalową klamką w kształcie głowy łabędzia. Czy nie tak powinien wyglądać dom czarownicy? Bez żartów. Sprawa była poważna.

Mama otworzyła furtkę kluczem, którego nigdy u niej nie widziałam. Drzwi skrzypnęły przeraźliwie, a między naszymi nogami przemknęły trzy koty i natychmiast zniknęły

za domem. Wstrzymałam oddech, a po chwili stałam już na zimnej, szarej terakocie w przedpokoju. Po prawej stronie duży salon ze starą, wysłużoną kanapą, która jakieś pół wieku temu była pewnie czerwona, i dwa fotele z dużymi poduszkami. Drewniany kredens, fotel bujany pod oknem i stół. Okrągły, nakryty białą koronkową serwetą, z pustym wazonem na środku. Czekał na kwiaty, których nie zamierzaliśmy kupować.

– No. To jesteśmy – powiedziała mama niepewnie. Uśmiechnęła się, ale właściwie wyglądała tak, jakby chciała się rozplakać.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy:
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książka została wydrukowana na papierze
Creamy Hi Bulk 53 g/m² wol. 2,4.

PaperlinX

Redaktor prowadzący Katarzyna Piętka
Opracowanie DTP, redakcja techniczna Joanna Piotrowska
Korekta Monika Hałucha, Magdalena Szroeder, Joanna Morawska

ISBN 978-83-10-12806-5

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.
Druk: Opolgraf SA